Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Gniazdo czarnych bocianów. Fot. Józef W. Krauze.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

Nr. 21 (676) 21 MAJA 1932 R.



Z poleskich typów. Fot. Józef W Krauze.

UROCZYSTOŚĆ NAJWIĘKSZEGO PISARZA MYŚLISTWA.

W jubileuszowym roku Józefa Weyssenhoffa, w dniu, w którym cała Polska hołd składa jego pisarskiej pracy, w hołdzie tym nie może zbraknąć głosu myśliwych.

Ta jego praca szczególną wartość posiada właśnie dla nas. Zawarło się w niej pełne i doskonałe przedstawienie żywiołu łowieckiego, tak doskonałe i pełne, że równego mu spotkać niepodobna.

Lecz nie tu koniec, ani sens zasługi: Weyssenhoff bowiem stał się przedewszystkiem podstawą nowoczesnej idei łowieckiej — przez pogłębienie współżycia z przyrodą, przez nieuchwytny napozór, a przecież dominujący nacisk na estetykę łowu, na jego zgodność z prawami przyrody, z jej tłem, i budząc w człowieku na tem tle i przez nie wzruszenia najczystszej próby.

„Soból i Panna" — „Puszcza".. Wrosła nam w krew treść tych książek.

Ich nurtem wewnętrznym tętni serce myśliwego, a w każdej przygodzie dzisiaj i zawsze błąkać się będzie echo tamtych przygód...

W głuszcach, co w puszczy poleskiej roztokują się z wiosną, gra przecież ciągle jeszcze Morozowa dusza...

Wspomnienie Jużynt dotąd mieszka nietylko w litewskich stronach, ale i w sercach naszych, zawsze wierne i drogie. Bośmy zżywali się z niem nieodstępnie od najwcześniejszych lat.

Prześwietlone młodością karty tych ksiąg uczyły nas uroku życia. Budziły ukochanie tego, co dziś kochamy najżywszą pełnią uczuć.

Talenty i powołania wciąż idą po tropach onych dzieł i niby z źródła wiecznie żywego z nich czerpią, niemi się sycą, ku nim wracają.

Po tychże tropach biegnie życie myśliwego, z takich samych złożone uniesień, z takich samych świateł i barw...

I dlatego głębokie, wdzięczne uczucie nas wszystkich, — którzy największą radość po dziśdzień przeżywamy, jako odbicie świata, zaklętego w książki Weyssenhoffa — otacza w tej chwili wielkiego pisarza i jubilata miłością gorętszą, czcią trwalszą, niźli laurowe wieńce.

Niema dość mocnych i dość prawdziwych słów, aby je mogły zawrzeć i pomieścić.

Ale powiedział je sam, pierwszy, jedyny — przekazał nam je, jak symbol, i niemi dzisiaj odpowiadamy, wierząc w ich moc i prawdę, ze szczerem, największem wzruszeniem:

— I wszystko w was ucichnie, przeminie — ostatnia przetrwa moja gra łowiecka...

ALEKSANDER JANTA-POŁCZYŃSKI.



O PIĘKNEJ LITERATURZE ŁOWIECKIEJ W POLSCE.

(Dokończenie).

W literaturze łowieckiej pierwszej klasy niepodzielną dotąd suwerenność dzierży Józef Weyssenhoff. Pisarz ten rozpoczął swą karjerę na satyrze obyczajowej. Natomiast najpełniej, najjaskrawiej i najtrwalej zabłysnął jego talent na polu literatury łowieckiej. Takiego „Sobola i panny" nie posiada chyba żadna inna literatura. Z prostych, szczerych i dlatego zapewne tak silnych wzruszeń myśliwskich stworzył całą epopeję, którą nader skromnie zatytułował — cyklem myśliwskim. Powstrzymam się ze względów zrozumiałych od własnej, ogólno-artystycznej oceny tego arcydzieła. Powstrzymam się choćby tylko dlatego, że dziesiątki i setki godniejszych uczyniły to przede mną. Zaznaczę, że osobiście nie spotkałem ani jednej krytyki ujemnej „Sobola i panny". Przepraszam — spotkałem jedną i to w roku bieżącym. Oto niejaki p. Władysław Gacki, autor dość zresztą zręcznych „Szkiców myśliwskich" tak pisze w przedmowie do tych szkiców: „Obniża wartość literacką przygód łowieckich pańszczyźniana, anachronistyczna atmosfera, z tradycyjną czcią odtworzona w nadobnej powieści, gdzie młodzieniec, jak przystało na szlachcica, dobrze się odżywia, dużo poluje i ma pod ręką i dla rozrywki i wygody urodziwą dziewczynę wiejską, duchowo bardziej wartościową od bohatera, z którą likwiduje stosunek miłosny z bezmyślnością, jakiej już nie usprawiedliwia nawet szlachetne urodzenie". Tyle p. Gacki. Nie wskazał on Weyssenhoffa palcem, lecz jasne, kogo miał na myśli. Trudno. Największe arcydzieło znajdzie swego malkontenta, zwłaszcza gdy ten ma, że tak powiem, socjalne podejście do dzieła sztuki. Z myśliwskiego punktu widzenia „Soból i panna" jest arcydziełem par excellence myśliwskiem i nadto — z myśliwska bezkonkurencyjnem. Z różańca utajonych wzruszeń myśliwskich wystylizował Weyssenhoff brylantową kolję, w której zamknął wszystkie niemal typy polowań. Od ciągu słonek i arystokratycznych pudeł do bażantów — poprzez „chłopskie polowanie" na cietrzewie — aż do „kazionnych" łowów na letnie wilki, strzału do legendarnego odyńca Chaskiela i wizji łosia na bagniskach Szepety. Mam wrażenie, że Turgieniew musiał conajmniej drgnąć w grobie, gdy pierwsze wydanie „Sobola i panny" ukazało się na półkach księgarskich. Bo jakże bledną wychwalane „Zapiski ochotnika" wobec weyssenhoffowskiego cyklu myśliwskiego! Cóż dał Turgieniew, prócz ślicznego obrazu „na ciągu" i prócz kilku nastrojowo-myśliwskich plamek na dość jednostajnem tle rozczulania się „ruskawo barina" nad psychologją i bytowaniem ruskiego mużyka?... A czyż nawet nie-myśliwy nie poczuje czegoś w rodzaju ściśnięcia za gardło, gdy powściągliwy i opanowany na całej przestrzeni cyklu Weyssenhoff wzruszy się wreszcie na ostatniej stronicy „Sobola i panny", śpiewając dytyramb na cześć nieśmiertelnego łowiectwa?... Jak to biegł ścieżyną leśną opasły starzec „przeistoczony przez furję gonu", a las śmiał się i podszczuwał, i podrwiwał dobrotliwie ze ślamazarnego nieco Rajeckiego, który jeszcze może nie rozumiał, że „wszystko w nas przebrzmi, przeminie — ostatnia przetrwa moja gra łowiecka!". W cyklu „Sobola i panny" zabrakło Weyssenhoffowi jednego ogniwa: najwspanialszego — pieśni głuszca na toku! Może zresztą celowo odkładał przetopienie tego najszczytniejszego wzruszenia myśliwskiego w tyglu literackim, bo oto w kilka lat później ukazuje się „Puszcza", w której leit-motywem jest właśnie pieśń godowa głuszca. Osobiście żałuję, że Weyssenhoff nie włożył pieśni głuszca jako jednego z rozdziałów do „Sobola i panny". Uważam, że w „Puszczy" talent Weyssenhoffa nadłamał się... Jako prawewego „Mińczuka" złościło mnie zawsze w „Puszczy" pomieszanie Polesia z rdzenną Mińszczyzną, staranie się o przekrój terenu i stosunków, które znał bardzo pobieżnie... Jako myśliwego rozczarował mnie w „Puszczy" ten brak siły i wyrazu w opisie scen myśliwskich, brak, który można darować początkującemu noweliście myśliwskiemu, lecz nie autorowi „Sobola"... Lecz nie trzeba być ani „Mińczukiem", ani myśliwym, by widzieć, że „Puszcza" to początek zmierzchu Weyssenhoffa. Nie ubliżam Weyssenhoffowi, bo uważam, że osiągnął wielkość w „Sobolu i pannie". Kto „Puszczę" stawi na jednym poziomie z „Sobolem" — poniża Weyssenhoffa...

Na drugiem miejscu po Weyssenhoffie w literaturze łowieckiej pierwszej klasy stawiam zmarłe-

go niedawno Juljana Ejsmonda. O wielkich artystycznych walorach jego utworów mówić nie będę, gdyż to są rzeczy powszechnie znane i bezapelacyjnie uznane. Ponieważ jednak mówię o literaturze łowieckiej, tedy zaznaczyć pragnąłbym, że znaczenie dzieł Ejsmonda dla łowiectwa polega na bojowym charakterze jego twórczości. Ten artysta był fanatykiem łowiectwa! Z wiarą w łowiectwo kroczył pełen młodych sił przed siebie, krusząc obojętność „niewiernych", kaptując tych niewiernych dla „wiary łowieckiej", budząc ogniem żywego słowa i piekącym jadem satyry, miłość do przyrody i serca zwierzęcego.

Po Ejsmondzie idzie Włodzimierz Korsak. Zasłynął wśród świata myśliwych całej Polski swym „Rokiem myśliwego", który nie jest wyłącznie podręczną praktyczno-naukową encyklopedją łowiectwa. Oto, co pisze Weyssenhoff w przedmowie do „Roku myśliwego": „Autor... w dziele swem zgromadził... cały materjał poetyczny myślistwa. Tylko, jako Litwin sumienny, trzyma się ściśle zamierzonego planu: stworzenia podręcznika dla polskiego myśliwego... Całym swym wypracowanym tekstem mówi: jestem uczonym przyrodnikiem i zawołanym myśliwym.. Czasem tylko wyrwie mu się ciche i przelotne wyznanie: Kocham dziką przyrodę mej krainy. Ale to stłumione: Kocham — jest przejmujące. I dlatego posądzam cię, drogi kolego, że jesteś poetą".. Po „Roku myśliwego" daje nam Korsak szereg monografij, nowel i studjów łowieckich oraz parę powieści, z których najpiękniejszą bezsprzecznie jest „Pieśń puszczy". W powieści tej, jak trafnie zauważył jeden z krytyków, puszcza jest głównym bohaterem. Twórczość Korsaka cechują doskonale dostrzeżone i niejako odgadnięte w zaraniu jego twórczości przez Weyssenhoffa: — sumienność w wykonaniu zamierzonego planu oraz artystycznie intuicyjna prostota i wstrzemięźliwość w dygresjach uczuciowych. Jako pisarzy-myśliwych pierwszej klasy wymienić trzeba jeszcze: kulturalnego, miejscami zmanierowanego Stefana Krzywoszewskiego; egzotycznego, trudnego do skontrolowania właśnie ze względu na tę egzotykę Ferdynanda A. Ossendowskiego; młodego, pełnego zapału entuzjastę łowiectwa, stylistycznie trochę rokokowego Aleksandra Janta-Połczyńskiego; autora „Estetyki łowiectwa" Władysława Janta-Połczyńskiego; sędziwego trubadura kniei Stanisława Zaborowskiego... *). Czasu niestety za mało, by wszystkich wybitniejszych literatów łowieckich I klasy wyliczyć.

W literaturze łowieckiej gawędziarskiej najwytworniejszym, najdowcipniejszym i najrasowszym jest wspomniany już w „I klasie" Władysław Janta-Połczyński, zwany przez myśliwych nestorem łowiectwa polskiego. Przez beztroskie gawędziarstwo Władysława J.-P. przebija wysoka kultura „starszego pana", co dużo w swem życiu widział i przeżył, lecz nic nie stracił z młodzieńczej werwy. Cykl J.-P. „Polująca pani" powinien być przeczytany przez wszystkie damy, flirtujące z łowiectwem — zarówno ku przestrodze, jak i ku pokrzepieniu serc niewieścich. Innym gawędziarzem, niezwykle płodnym, zasilającym szkicami i humoreskami wszystkie perjodyki łowieckie i leśne, jest Adam hr. Rzewuski, autor „Ze strzelbą na ramieniu". Niespożyta natura ukraińska czyni cuda i autor ten, porządnie już „nestorowaty", nie przestaje ani polować, ani gawędzić. Gawędy jego przechodzą czasem w gadulstwo, zresztą dość sympatyczne. Potoczysta narracja przeplatana jest nadmiarem staropolsko-cudzoziemskich zwrotów, lirycznych inwokacyj w rodzaju „czytelnicy najmilsi", wzywaniem nadaremno imienia św. Huberta, a styl przygniata nadużywaniem znaków pisarskich, zwłaszcza cudzysłowa... Wszystko to sprawia, że bystry naogół Rzewuski nuży czytelnika a la longue. Pozatem rodzaj gawędziarski jest jedną z ulubionych form literatury myśliwskiej, jako że od czasów niepamiętnych gromadzili się myśliwcy po łowach, by przy kielichach świdrować sobie wzajemnie dziury w brzuchu. To też gawędziarzy piszących mamy w Polsce wielu, bardzo wielu.

Ostatnią grupę literatury myśliwskiej stanowi literatura pieczeniarska. Wspomniany już przezemnie srogi krytyk Weyssenhoffa, p. Władysław Gacki, tak dosadnie określa ten rodzaj literatury: „...sprawozdania panegiryczne o wyraźnych cechach reklamy lub pieczeniarstwa: że tam ktoś, gdzieś, znalazłszy się w szczęśliwych warunkach, pomyślnie zapolował na grubszego zwierza i spłacił dług wdzięczności względem przemiłego gospodarza świetnym artykułem...". Innemi słowy motorem tego rodzaju „twórczości" łowieckiej jest zapłata za pieczeń — słowem drukowanem. Już z tego względu wszystko to jest mało sympatyczne, a ponieważ zazwyczaj wodniste, napisane przez domorosłych grafomanów więc — bezwartościowe, poprostu nudne i niesmaczne. Możnaby przeto było za jednym zamachem odrzucić rodzaj pieczeniarski i więcej o nim nie mówić. Jednak właśnie na zakończenie chcę o tym rodzaju parę własnych słów powiedzieć, jako o osobliwości literatury myśliwskiej.

W literaturze pięknej powszechnej opis zdarzeń i osób autentycznych nie jest mile widziany, gdyż trąci zwykle bądź paszkwilem, bądź nadskakiwaniem. W literaturze myśliwskiej może być inaczej — i to jest jej osobliwością. Dam dwa przykłady. Przykład pierwszy: nuworysz z „Kongresówki" urządza reprezentacyjne polowanie na hodowane szaraki i bażanty, spraszając na te łowy gości „miastowych". Jeden z gości, jakiś reporterzyna minorum gentium, kropi o tem sążnisty feljeton, po mazgajsku wzdychając nad rozkoszą obcowania na łonie dzikiej natury (o 20 kilometrów od Warszawy) i wypisując ckliwe chwalby na cześć staropolskiej gościnności (w pierwszem pokoleniu)... Przykład drugi: dwór kresowy dźwiga się z ruiny wojennej. Dokoła dworu roztaczają się piękne lasy i rozległe moczary, w których gnieżdżą się łosie, rysie, głuszce, pardwy... Właściciel, borykając się nadludzkim wysiłkiem z ciężarami doby obecnej, ma czas jeszcze, by ochraniać i rozmnażać łosie, utrzymywać karną straż łowiecką, łożyć na hodowlę zwierzyny... Dla upamiętnienia tych bohaterskich poprostu wysiłków, dla utrwalenia fragmentu przyrody pierwotnej, dla zapoznania ogółu z przepięknym zakątkiem, stanowiącym nikłe już resztki „przepastnej krainy puszcz litewskich" — czyż nie tylko można, a poprostu — trzeba zakątek taki monograficznie zbadać, artystycznie naświetlić i — opisać?... Często więc literatura z pozoru „pieczeniarska" stać się może

*) Czy nie trochę zapóźno? — *przyp. red.*

w swej istocie kroniką łowiecką pewnych regjonów — ciekawych z przyrodniczo-myśliwskiego punktu widzenia. A że się przytem wymieni kogoś z nazwiska, chwaląc zasługi lub przypinając łatkę — to komu to szkodzi i komu co do tego?...

Dobiegam końca.

Wykazałem znaczenie łowiectwa dla literatury pięknej w ogólności, znaczenie łowiectwa, jako niewyczerpanej skarbnicy t. zw. natchnień artystycznych... Wskazałem na osobliwości literatury łowieckiej, jako części piśmiennictwa pięknego... Rzuciłem kilka nazwisk, z których brzmieniem kojarzą się pojęcia łowiectwa i literatury łowieckiej w Polsce...

Lecz mówiąc o polskiej literaturze łowieckiej, nie można pominąć na zakończenie jeszcze jednej jej cechy — wielce charakterystycznej. Piękna literatura łowiecka ma za przedmiot dziką naturę, jej pierwotny wpływ na otumaniony życiem większych zbiorowisk ludzkich system nerwowy człowieka, mniej lub więcej niezwykłe doznania i przygody — słowem to wszystko, co stanowi istotę egzotyki. Otóż po tę egzotykę Francuz, Anglik lub Amerykanin muszą jeździć bądź do kolonij, bądź na półkolonjalne peryferje swych krajów... Tak czynili i czynią Kipling, London, Curwood... My, Polacy, nie posiadamy kolonij, lecz egzotykę mamy na miejscu... Polak-miłośnik przyrody lub Polak-myśliwy ma niemal „pod ręką" Karpaty — z niedźwiedziem, jeleniem, rysiem i żbikiem, puszcze i błota poleskie — z łosiem i istną ćmą ptactwa wodnego, Puszcze — Rudnickie, Białowieskie, Tucholskie z trubadurem boru: głuszcem... Ba — nawet te tak nudne dla wilnianina, a oglądane przeważnie tylko z wagonu równie mazowieckie też tają w sobie malutki elemencik egzotyki. Wszak o zającu mazowieckim Dygasiński napisał całą przepiękną powieść, a nie słyszałem, by jakiś Francuz rozczulał się nad swym królikiem. Słowem — dzięki łowiectwu — mamy swoją własną narodową egzotykę. Piękna literatura łowiecka w Polsce — to literatura nawskroś swojska, nawskroś narodowa.

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI.

UDERZAM W DZWON...

W obecnej dobie powszechnego rozstroju, niedomagań i upadku wszelkich instytucyj i placówek, opartych na kapitale obrotowym i na zamianie tegoż na realne wartości jakiejkolwiek natury, nie możemy, niestety, pocieszyć się, iżby instytucje łowieckie, choćby najbardziej przystosowane do psychologji większości zrzeszonych w nich myśliwych, a więc najwięcej dbające o dziedzinę rozrywkowo-sportową, wolne były od przygniatającego kryzysu i aby to nie wycisnęło swego piętna na najbardziej znów ukochanych, ideowych dążeniach bojowników z pod sztandaru św. Huberta.

Toteż rok 1931 już prowadził wiele kółek, kół i towarzystw łowieckich po tej pochyłej, po której w roku bieżącym znaczniejsza ich liczba stoczyć się może na samo dno, gasząc wszelkie nadzieje najbardziej wierzących i wytrwałych w pracy dla dobra sprawy.

Niewątpliwie, ratując zagrożone placówki, a przedewszystkiem umiłowaną ideę łowiecką, najlepsi z pośród braci wysilają się na stosowanie czasem przykrych, lecz często jedynych, koniecznych środków zaradczych, wszelako niejednokrotnie może to być ratunek spóźniony, a w braku zrozumienia i poparcia u ogółu — bezcelowy.

Pęd (z konieczności, wynikającej z ogólno-ekonomicznych warunków) do redukowania wydatków osobistych, pęd chwalebny — gdy polega na ograniczeniu własnych, egoistycznych zadowoleń, zachceń i wygód, lecz wysoce szkodliwy — gdy osłabia zbiorowe działanie społeczeństwa, czy jakiejś jego grupy, przeniknął i do naszych stowarzyszeń łowieckich. Wycofujący się z nich członkowie, gwoli pozornie usprawiedliwionej oszczędności w budżecie własnym, zapominają, że jednocześnie naruszają podstawy istnienia samej instytucji, że utrudniają gruntowanie praw i zdobyczy samego łowiectwa, które u nas czeka jeszcze na tak wiele zmian na lepsze w swym rozwoju i bycie.

I gdyby jeszcze tak było, iż wypisujący się z jakiegoś towarzystwa członek polujący zdobył się na konsekwencję zawieszenia swej broni na kołku ad feliciora tempora. Nie, tych będzie bardzo niewielu, większość wypisujących się członków towarzystw będzie polowała nadal samopas, lub z przyjaciółmi wśród „dzikich" myśliwych, po większej części wybijając bezkarnie zwierzynę i nic dla niej nie robiąc, gdyż nawet ta cofnięta jakiemuś tawarzystwu składka, używana przez nie na rozmnożę zwierzyny, na jej ochronę i dokarmianie, przestanie ich łączyć z ideową stroną łowiectwa. A wszak dziś, przy bardzo znacznym spadku cen czynszowych za tereny łowieckie, można w kilku „eksploatować" nawet duże obszary, nic poza czynszem w nie nie wkładając, zadowalając prócz namiętności polowania—także i kalkulację na tanie mięso, zaś im bardziej posunie się oszczędnościowa ucieczka członków z poszczególnych towarzystw, tem więcej terenów pozostanie dla „dzikich".

Jeśli do wiosny roku 1931 stosunek zrzeszonych myśliwych do „dzikich" był jak 1:4 i ten stan budził słuszne obawy, oraz nawoływania do bardziej spoistego organizowania się myśliwych, wreszcie krytykę w kierunku tych „konsumentów" łowiectwa przez „producentów" nietylko w łowiskach, ale i ideowych w znaczeniu kultury i etyki łowieckiej, to obawiam się, iż rok bieżący pogłębi to zło jeszcze bardziej i stosunek pogorszy, jak to na przykładach wielu towarzystw staje się widocznem, i może nadejść chwila, kiedy stosunek 1:4 będziemy wspominali, jako szczęśliwy okres w walce o kwitnący stan łowiectwa w odrodzonej Polsce.

A jeśli w kołach i towarzystwach ubędzie członków i ubędzie zatem składek, a więc kapitału obro-

łowego, to liczba stowarzyszeń zacznie się kurczyć, zaczną one odpadać także od Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, a to już bezpośrednio zagrozić może na długo rozwojowi naszego łowiectwa, jeśli także nie jego bytowi na wielu odcinkach.

Uderzam przeto w dzwon alarmowy, kierując jego dźwięki nadewszystko w stronę tych przyszłych uciekinierów, w których sercach pragnąłbym zbudzić drzemiące umiłowanie wspólnych nam idei i celów, wierząc, iż to umiłowanie zaważy na zbyt szybkiej i egoistycznej decyzji i z drogi dla łowiectwa niewątpliwie szkodliwej zawróci.

Lecz poruszam tę gorzką możliwość, uzasadnioną szeregiem przesłanek, w tym również celu, aby raz jeszcze przypomnieć, że należałoby obrony tezy o konieczności najbardziej spoistego zorganizowania wszystkich myśliwych szukać na innej drodze. Powracam przeto raz jeszcze do projektu, dyskutowanego nietylko na łamach „Łowca Polskiego", lecz także w szerokich roztrząsaniach „gabinetowych" a bodaj że i na Walnem Zgromadzeniu P. Z. S. Ł. w roku 1931, ażeby karty łowieckie zostały opodatkowane przez władze administracyjne w pewnej mierze także na rzecz Związku, ażeby w ten sposób społeczeństwo i prawo zmusiło „dzikich" do daniny na rozwój i wznoszenie się łowiectwa krajowego, ażeby wreszcie korzystający z dobra ogólnego, jakiem ono jest, byli jego współtworzycielami chociaż w drobnej części, chociaż z musu, a stając się przez to samo członkami Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, z konieczności poddać się musieli wszelkim prawom, rygorom, nakazom etyki i całemu programowi tej poważnej organizacji. I to może stałoby się najwdzięczniejszą drogą do „oddziczenia" naszego społeczeństwa myśliwskiego.

Jest to, mam przekonanie, moment odpowiedni do ponownego zastanowienia się nad tą sprawą nietylko wobec obaw, jakie nasuwa doba obecna i towarzyszące jej prądy, lecz jedyny do przeforsowania planu wobec aktualnego rozważania koniecznych poprawek do pierwotnej ustawy łowieckiej, a przedewszystkiem szczęśliwy wobec coraz owocniejszej współpracy Ministerstwa Rolnictwa z Polskim Związkiem Stowarzyszeń Łowieckich, z właściwem zrozumieniem przez to pierwsze idei, celów i wysiłków naczelnej w kraju organizacji łowieckiej.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.



FRAGMENTY.

(Ciąg dalszy).

Dojmującem mnie cierpieniem była panująca na „Teteryczach" cisza. Żaden dźwięk jej nie mącił, żaden z żywych głosów, zwykle poprzedzających tok cietrzewi, nie odezwał się. Miałem wrażenie, że jestem żywcem zamurowany w jakiemś ponurem, przenikliwie chłodnem i wilgotnem podziemiu. Nie wiem, czy zdrzemnąłem się, czy byłem w stanie półletargu, gdy posłyszałem raz po raz powtarzające się, dolatujące z różnych kierunków odgłosy oklasków: jakby kto uderzał płaskiem drewienkiem o powierzchnię wody. Na pewien przeciąg czasu znowu cisza..... martwa i gniotąca. „Beeee" fantastycznie głośno odbiło się w moich bębenkach „beczenie" tokującego bekasa; „beeee" tuż nad głową zagrał w locie skrzydłami drugi. Oprzytomniałem. Szara powłoka świtu unosiła się nad bagnem. Nagle, bez żadnych uprzedzeń, jednocześnie ze wszystkich stron zatokowały cietrzewie i rozpoczął się chaotyczny koncert, w którym odrazu zmieszały się: gruchanie, trzepot skrzydeł, syki i jakieś dziwne klaskania — pluski. Jak pod działaniem morfiny, zastrzykniętej dobroczynną ręką lekarza, ustają cierpienia, znika straszliwy ból, a umęczone ciało pławi się w nirwanie wytchnienia, tak raptownie znikł ziąb bez śladu, a fala ciepła napłynęła i ogrzała znękane zimnem członki. Zagrzmiały strzały. Zrobiło mi się jeszcze cieplej. „Zawcześnie zaczęli" — skrytykowałem z goryczą — „zepsują całą zabawę". Powtórzyły się... zahuczały jeszcze raz..... ale gdzież tam! na mojem przedpolu tok z każdą chwilą potęgował się, wzrastał, a tokujące cietrzewie nie zwracały najmniejszej uwagi na huk, ani na błyski strzałów, oddawanych w stosunkowo bliskiej od nich odległości. Uspokojony, cierpliwie siedziałem w ukryciu, oczekując swojej kolejki. Wyjaśniło się znacznie. Już mogłem rozróżnić kontury ruszających się ptaków, już widziałem rosnące nieopodal brzózki, a na nich czerniejące plamki, już odkryłem sekret klaskania, wywoływanego spadaniem cietrzewia na zalaną wodą kępkę trawy, już mogłem bez wielkiego ryzyka strzelić do bliższych kogutów,

jednak wstrzymałem niezdrowe zapędy, gdyż z jednej strony powziąłem postanowienie nie strzelać przed szabasem, a z drugiej obawiałem się przedwczesnym strzałem jeżeli nie rozpędzić zupełnie, to odpędzić od swojej budki tokujące towarzystwo Nie uległem pokusie nawet wtedy, gdy tuż przed sobą o kilkanaście kroków zobaczyłem białe piętno i rozpuszczoną lirę obróconego do mnie tyłem, bezustanku bełkocącego koguta. Coraz bardziej milkło tokowisko, aż ucichło zupełnie. Ogromna purpurowa kula słońca majestatycznie wysuwała się z poza wierzchołków brzóz. Długie promienie zalśniły szkłem na wodnych okienkach między kępkami, zajaśniały seledynem na źdźbłach trawy, pokryły czarne ubiory spokojnie siedzących na kępkach cietrzewi platynową patyną i oświeciły „Teterycze" w całym powabie. Skończyła się przerwa-szabas. Jak ogromne stado gawronów, które obsiadło nagie, pozbawione listowia gałęzie drzew, pokrywa czarną, gipiurową płachtą znaczną część lasu, tak rosnące na „Teteryczach" brzozy, jak okiem sięgnąć, czerniały punkcikami ptaków, bądź to przypatrujących się gonitwom i turniejom, bądź to zlatującym na kępki, bądź pochłoniętym całkowicie własnem gruchaniem. A na bagnie, między drzewami i na kępach walczyła cała armja rycerzy, wśród niesłychanej wrzawy i wzbijanych do góry strumieni djamentowych bryzg. Moja kolej przyszła. Dwa, następujące jedne po drugim, strzały najmniejszego wrażenia na otoczeniu nie wywarły. Dopiero trzeci do bełkocącego na drzewie, oraz łopotanie skrzydeł i plusk spadającego do wody ptaka spłoszyły najbliższe koguty. Jeszcze trzy strzały tego pięknego poranku oddałem na „Teteryczach".

Wylazł na świat Boży pan doktór, probując dopędzić uciekającego na piechotę podstrzałka, prędko zaniechał pościgu i nie wracając do budki z terminacją ruszył w powrotną drogę do domu, solidnie podnosząc i opuszczając swe długie nogi, jak spacerujący na bagnie żóraw. Drugą budkę opuścił pan S-ki; wygramoliłem się wreszcie i ja ze swego ukrycia. Przez solidarność w stosunku do moich kolegów powrotną drogę odbywałem własnym sumptem i staraniem, wyrzekając się zbawiennej w skutkach pomocy tyk i korzystając tylko ze wskazówek i ochrony Iwana. Nie o wiele łatwiejsza, chociaż mniej przerażająca, była podróż powrotna.

Wspaniała zabawa skończyła się.

Przykre i uciążliwe trudy były sowicie wynagrodzone półtuzinem czerwonobrewych zabijaków.

Podlaskie możliwości w zupełności wyekspirowałem, a za kilka godzin każdy obrót kół pociągu zbliżał mnie do serca Polesia — Pińszczyzny.

Od południa mżył drobny, ciepły deszczyk. Przed wieczorem ustał. Wieczór był pochmurny i bezbarwny. Zmęczone, zdyszane konisko, robiąc bokami, wlokło się w dymiących oparach potu noga za nogą, ciągnąc wózek przez poszarpane wiatrami, obnażone wydmy piachów, śród popielatych poletek jakby schorzałego żyta, oraz między brudnemi rozlewami na łąkach i bagienkach, obok smutnych, nędznych chałupek, po wązkich, grząskich i pełnych wybojów uliczkach. Znudzony powolną podróżą i jednostajnym, nieciekawym widokiem krajobrazu podjechałem, jeżeli krok wiozącej mnie szkapiny można nazwać jazdą, pod ganeczek leśniczówki, witany przez uprzejmych gospodarzy. Popędzany donoszącemi się z przyległego pokoju narzekaniami Pani domu, że „wszystko ostygnie, a wódka zagrzeje się", spieszyłem na łeb na szyję z myciem rąk i doprowadzeniem do porządku ubrania. Suto zastawiony smakołykami stół, pokaźna baterja różnych kształtów i wielkości butelek z wcale nie chłodzącemi napojami, stanowczy wyraz twarzy gospodarza i figlarny, dużo obiecujący uśmiech zapraszającej na kieliszeczek i przekąskę ślicznej Pani, dawały do zrozumienia, że nie wymigam się nawet dziesięciu „kieliszeczkami" i że będę zmuszony pogodzić się już nie z drobnym ciepłym deszczem „na zewnątrz", lecz z gorącą, trwającą kilka godzin czasu ulewą „wewnątrz". Smętne przeczucie mnie nie zawiodło. Przekąska, spóźniony obiad, podwieczorek i kolacja, zakrapiane niezliczoną ilością „kieliszeczków", trwały jednym ciągiem bez żadnej przerwy aż do czasu zameldowania przez usługującego przy stole gajowego o zaprzężonych koniach i o nadejściu godziny, wyznaczonej na wyjazd do Jasiołdy. Nie podarowano mi i tego „ostatniego na pomyślność". Kilka kilometrów jazdy wózkiem, przejście do rzeki przez mokrą łąkę, rzeźkie, nocne powietrze i chłód przybrzeżny odświeżyły znacznie moją biedną głowę i wywiały z niej czad libacji. Tylko spać mi się chciało niemiłosiernie. Mój przewoźnik ułożył futerał z dubeltówką, wypleciony z łozy, przegrodzony wewnątrz kosz z krekuchą i kaczorem, drewniane „czuczeło" (pływak-manekin) cyranki, przykrył burką rozesłaną w łódce słomę i jeszcze guzdrał szukając na brzegu wiosła. Nie czekałem na wynik poszukiwań: — wyciągnąłem się na przygotowanem posłaniu i zasnąłem snem kamiennym. Zbudziło mnie skrzypienie i tarcie boków łódki o jakieś zarośla, trzask łamanych gałęzi i stuk lekkich uderzeń po przykrywającym moją głowę kapturze burki. To właściciel łódki wpychał ją gwałtownie w gąszcz łóz. „Przyjechaliśmy na miejsce" — oświadczył — „a spał pan całą drogę, jak zabity". Dwie godziny snu w łódce bardzo mi się przydały, a tego, co się zowie „kazenjamer", organizm mój nie zaznawał nigdy. Czułem się wypoczęty dostatecznie, lecz zauważyłem, że wzrok nie zupełnie dobrze mi dopisuje i jakby przytępiał.

Ranek zapowiadał się niezgorzej, chociaż postrzępione go brzegach, oderwane kawały chmur pływały po oceanie nieba, zasłaniając od czasu do czasu gwiazdy. Nieznaczny wiaterek, wstrzymany w swym biegu i uwięziony ścianą krzaków, prześlizgiwał się między gałązkami, cicho szepcąc im nieuchwytne dla ucha ludzkiego słowa skargi i prośby. Ogólne, ginące w mroku tło wodnej powierzchni ciemne i nieprzejrzyste, oddzielone było od łódki ponurem, czarnem pasmem:—to cienie wysokich krzaków łozy zgęszczały jego mrok. Słychać było plusk kąpiącej się krekuchy, jeszcze niewidocznej dla najostrzejszego wzroku. Na wypadkowe potrącanie znajdującego się w łódce kosza, postawiony w nim kaczor syczał, jak rozzłoszczony płaz. Głośno plusnęła tuż przed łódką jakaś większa ryba. Przefrunęło obok małe ptasze, szeleszcząc dyskretnie skrzydełkami po listkach; usado-

wiło się w pobliżu i zakwiliło nieśmiało. Donośnie zabulgotała w krzakach łyska. Zabrzęczał nad uchem jeden z nielicznych jeszcze, żądnych krwi komarów. Milczkiem, rytmicznie pogwizdując skrzydłami, przeleciał nad naszemi głowami niewiadomej płci okaz ka czego plemienia. Za parę chwil drugi przeciągnął i oddalając się, rzucił wdół niski, chrypliwy okrzyk. Niechętnie dała głos krekucha i urwała w połowie wołania. Odpowiedział jej zamknięty w koszu więzień. Zatrzeszczał „treskuńczyk" (kaczorek cyranki zwykłej). Gdzieś z tyłu za nami odezwły się powtarzające się głosy kaczorów, to basowe — rozkazujące, to chrapliwe — wyrażające gniew lub zniecierpliwienie. Pozbawieni wszelkich uczuć ojcowskich, ze zbrodniczym uporem, niszczącym własny płód w znalezionem gnieździe, pochopni do gwałtu, brutalni i napastliwi kochankowie — kaczory napróżno poszukiwały sposobności nasycenia wciąż jeszcze nieugaszonej wiosennej żądzy i bezskutecznie odwiedzały zakątki, w których zaciszu jeszcze tak niedawno odnajdywały bez wielkich zachodów przygodne kochanki i raczyły się słodyczą ich wdzięków. Obecnie poczucie obowiązków macierzyństwa wzięło górę nad nakazem temperamentu; wszystkie kaczuszki ostatecznie skończyły z miłosną przygodą, stały się wzorem cnoty i umiejętnie kryjąc się przed gwałcicielami, tylko pokryjomu opuszczały swe kryjówki — gniazda. Dopiero w tym czasie puszczam wodze mej namiętności i pozwalam sobie na polowanie z krekuchą. Kilkadziesiąt lat temu, chociaż mało kto zwracał uwagę na „jakieś tam" terminy ochrony, lub wcale z niemi się nie liczył, było znacznie więcej. Ale bo też nie polowaliśmy wiosną nigdy z krekuchami, używając ich jedynie w końcu lata w czasie porannych zlotów i wieczorowych przelotów, jako niezawodny środek przywabienia przelatujących kaczych stadek, lub jako ostrzegawczy sygnał dla ukrytego strzelca, o każdej nadlatującej kaczce. Polowaliśmy wiosną na przelotne kaczki, w chęci zdobycia jaknajwiększej ilości przeważnie rzadkich ich odmian i chociaż znaczna ilość kaczek ginęła razem z kaczorami, rzesza kacza miała spokój w najważniejszym dla dobra lęgów okresie miłosnych upojeń i składania jaj. — Świt kończył się. Wschód słońca miałem za plecami. Ograniczony z trzech stron czarnym murem krzaków, gdzieniegdzie pokryty pędami trawy i szuwarów, czysty zalew rozszerzał się na zachód w czwartą stronę i łączył się z wezbranym nurtem rzeki, która nadmiar swych wód daleko wylała poza brzegi, tworząc bez liku zaciszne wodne zakątki zelewów, małe jeziorka w krzakach i płytkie rozlewy po łąkach, które rozgłosiły po całej Polsce nieprzemijającą sławę Jasiołdy, przez usta licznych myśliwych, polujących tu wiosną, latem i na jesiennych „sadach". Nad zalewem kłębiły się opary — skutek wczorajszego deszczu i ciepła. Jak wbijany w potężny pień drzewa, mocny klin rozdziera drzewo na dwoje i przez poszarpane podarte włókna umożliwia oglądanie rdzenia drzewa, tak zwiększająca się stopniowo jasność rozsuwała mgłę oparów i oświetlała powierzchnię zalewu czarną w cieniach krzaków, barwy roztopionej cyny — opodal i łyskającą szklistym połyskiem stali — co raz dalej. Przed chwilą ciemne, pozbawione barwy, młode pędy szuwarów i trawy zazieleniły się naraz. Śmignął w powietrzu ciemny punkcik; „kwakwak" — niezwłocznie zareagowała krekucha; raptownie głosem cyranki „zawabił" mój przewoźnik, a dostrzeżony punkcik znikł z przed oczu, spadając z pluskiem na wodę. „Widzi pan kaczorka?" — szepnął wabiarz. Zobaczyłem. Siedział nieruchomo. Nie zwróciłem należytej uwagi na dziwne zjawisko: wodne kręgi, wywołane siadaniem kaczorka nie rozchodziły się od zauważonej jego sylwetki, lecz zbliżały się do niej i jakby ją ogarniały. Do siedzących ptaków ze śrutowej broni strzelać nie lubię i nigdy dobrze nie strzelałem, chociaż kulami do nieruchomego celu strzelam nieźle, a do ruchomego nawet dobrze. Powodem tej nieumiejętności jest może jakiś defekt wzroku, lub przyzwyczajenie do szybkich strzałów z rzutu. Jednak w rzadkich tylko wypadkach udaje się strzelać w locie do zjawiającego się na zew kaczora. Większość strzałów przypada na strzelanie do siedzących lub płynących, następnie do opadających na wodę kaczorów, a wyjątkowo do podrywających się po pierwszem pudle lub z dublowania do siedzącego oraz drugiego, zrywającego się po strzale.



Czy jesteśmy fotogeniczni   Fot. por. M. Januszewski

Błysnął z hukiem strzał; żachnęła się, bijąc skrzydłami krekucha; zakołysał się, zakręcił strzelony kaczorek i... jakby nic, tkwił z podniesioną główką przed mojemi zdumionemi oczyma, śledzącemi jednocześnie za „drugim" kaczorkiem, który po strzale porwał się o kilka metrów od pierwszego. „A to sztuka zabić „czuczeło"! — zaśmiał się przewoźnik. Smacznie spałem, gdy ten kpiarz wysadził na wodę krekuchę, (po uprzedniem omotaniu szmatkami, dla uniknięcia zatarcia, jej nóżek, przymocowaniu do nich końców widełek ze szpagatu, uwiązanego do kołka, po wetknięciu tego kołka w dno, niżej powierzchni wody), gdy umieszczał opodal krekuchy „czuczeło" cyranki i pogrążał podtrzymujący je ciężarek. Zapomniałem zupełnie, że ten pływak musi znajdować się w pobliżu i zamiast do żywego kaczorka, palnąłem do drewnianej kaczki. Kto nigdy nie „strzelał byków" — niech mnie sądzi. Jeżeli wyrok ten będzie zbyt surowy, to dla przytoczenia okoliczności łagodzących, oraz dla wzbudzenia zazdrości srogiego sędziego powiadamiam, że w krótkim czasie, dziób łódki po brzegi był zapełniony już nie drewnianemi kaczorami.

(C. d. n.)

Stanisław Skrzyński

ROSKOSZE WIOSENNE.

Są dwa rodzaje polowań. Jedno z nich to szumne polowanie z naganką na dziki, lisy lub zające, a czasem bażanty i pędzone kuropatwy, podczas którego panie przywożą śniadanie, często same stają za myśliwymi na stanowiskach by „przynieść szczęście", a właściwie poflirtować. Na takie polowanie trzeba jechać z kuferkiem, pełnym wytwornych ubrań, (frak konieczny), gdyż potem wieczorem obiad, tańce do rana, lub bridge.

Drugi rodzaj, to polowanie wiosenne na głuszce, cietrzewie, kaczki lub słonki. Wtedy ma zastosowanie przysłowie „omnia mea mecum porto". Wszystko trzeba mieć ze sobą począwszy od strzelby i ładunków, skończywszy na kociołku od gotowania herbaty. O ileż więcej uroku posiada takie polowanie. Człowiek cały dzień poluje, a wieczorem odpoczywa przy ognisku, słuchając i gwarząc o polowaniach. Nieraz stary gajus dziwy prawi o zwierzynie, duchach i wilkołakach, co się po puszczy uganiają. Człowiek słucha i mimowoli poddaje się słyszanym obrazom. Jak dziecko małe lubi wtulić się pod ramię matki czy ojca, tak myśliwy wtula się w ten czarowny nastrój nocy wiosennej, spędzonej przy ognisku.

14-go kwietnia wybrałem się na takie polowanie w województwie Nowogródzkiem do pp. K. Zapowiedzi były różne: cietrzewie tokują, kaczek mało, słonki dobrze ciągną. (Głuszców w tej okolicy nie było).

Tego samego jeszcze dnia, w którym przyjechałem, wybrałem się zaraz z gospodarzem i jego synem, a moim szkolnym kolegą, końmi 20 wiorst do lasu, gdzieśmy mieli spędzić przemiłe trzy doby. Po drodze wstąpiliśmy do gajówki, skąd wzięliśmy gajowego z psem, imbryk na herbatę, siekiery, łopaty i t. p. Wieczorem byliśmy już na ciągach. — Ja niestety pierwszego dnia, nie miałem szczęścia. Moi kompani zabili trzy słonki. Nazajutrz, nim jeszcze dnieć zaczynało, poszliśmy do budek, parę dni temu przygotowanych. Gospodarz wraz z synem zostali w bliższej, ja z gajowym, siedemdziesięcioletnim Wasylem, poszedłem do dalszej. Niedługo czekliśmy na przylot cietrzewi. Pierwszy przyleciał, gdy było jeszcze zupełnie ciemno, siadł blisko budki, czuszyknął raz i zamilkł. Na wschodzie zaczynało niebo blednieć, różowieć, aż wreszcie słaby refleks wschodzącego słońca pozwolił oczom naszym rozpoznawać otoczenie. Na ziemi, o jakie 30 kroków od budki siedział cietrzew. Słyszałem, że nie wolno strzelać nigdy do pierwszego koguta, gdyż psuje to toki, więc czekałem cierpliwie, aż przyleci ich więcej. Wtem cietrzew drgnął, rozejrzał się wokoło, przebiegł kilka kroków i rozstawiwszy ogon, ciągnąc skrzydłami po ziemi, czuszyknął raz, drugi i wreszcie zagulgotał. Tok się rozpoczął. Zdala dochodziły mnie głosy innych kogutów. W krzakach opodal zapadł drugi i trzeci cietrzew. Powoli zaczęły zbliżać się do budki. Przybywało coraz więcej. Hałas od tokowania podniósł się taki, że nie mogłem skonstatować, ile gra kogutów. Było ich chyba koło dwudziestu. Wreszcie kilka wysunęło się z zagajnika i zbliżyło do budki. Dwa z nich usadowiły się obok siebie i zawzięcie tokowały. Do nich postanowiłem strzelać. Padły dwa strzały i dwa ptaki przerwały swą pieśń. Po strzałach człowiek dopiero zdaje sobie sprawę z tego, że jest okrutny. Czyż nie jest okrucieństwem zabijać ptaka w chwili jego największego uniesienia.

Koguty po strzałach na chwilę umilkły, lecz wnet się znowu rozśpiewały. Postanowiłem już dziś więcej do cietrzewi nie strzelać. Z godzinę jeszcze siedziałem w budce, roskoszując się cudnym widokiem, który roztaczał się przede mną. Około ósmej wyszedłem z budki i wraz z gajowym udałem się do obozowiska. Niestety, pomimo mego postanowienia niestrzelania miałem zabić jeszcze jednego koguta. Kiedyśmy już zbliżali się do budki gospodarzy, któryś z nich strzelił i wnet zobaczyłem wysoko ciągnącego koguta. Błyskawicznym ruchem podniosłem strzelbę, padł strzał i ptak runął na ziemię. Trzeci cietrzew. Moi przyjaciele mieli pięć sztuk. Razem więc ranek dał nam osiem kogutów.



Szczęśliwy powrót. Fot. T. Rudzki.

Zmęczeni, siedzieliśmy po chwili przy ognisku. Zmęczeni, pomimo, iż strzelaliśmy z budek, ale dojście do nich w nocy i powrót wystarczyły nam w zupełności. Po śniadaniu godzina drzemki i jazda na kaczki. O jakie dwa kilometry od naszego ogniska było leśne jezioro, pokryte lasem zeschłych trzcin. Tuż przy brzegu stała łódka. Ja wraz z gospodarzem wsiadłem do czółna, mój kolega z gajowym poszli brzegiem. Z głośnem kwakaniem podniosły się ciężkie krzyżówki, śmigłe cyranki i cyraneczki. Czasem znów kaczor podgorzałki podnosił się z trzcin, wówczas obydwaj strze-

laliśmy. Syn gospodarza też nie próżnował. Strzelał prawie bez przerwy. Kaczki bowiem, przez nas płoszone, przelatywały nad nim, by udać się na inne leśne jezioro, na którem mieliśmy nazajutrz zapolować. Ja zabiłem kaczorka świstuna, dość u nas rzadkiej odmiany kaczki, niestety w drodze do Warszawy zepsuł się i nie mogłem dać go do wypchania. Słońce już przeszło zenit, gdyśmy wysiedli z czółna. Dnia tego podnieśliśmy czternaście kaczorów. Znowu drzemka i o szóstej na słonki. Po powrocie, poprostu uczta przy ognisku. Pieczone na ogniu słonki z dnia poprzedniego, kartofle z popiołu, chleb razowy z masłem i twarogiem, do tego mocna, dobra, starka i gorąca herbata. A potem długo w noc opowiadania myśliwskie. Wasyl wysilał cały swój mało skomplikowany umysł, by opowiedzieć nam swoje spostrzeżenia. A jednak żaden najciekawszy odczyt nie zajął mnie tak, jak jego opowiadania.

Trwało tak trzy długie dni, które w rezultacie dały nam 39 kaczorów, 17 cietrzewi i 8 słonek.

Wróciłem do Warszawy zmęczony, brudny i niewyspany, ale pełen przemiłych wspomnień, obwieszony zdobyczą.

Da Bóg na przyszły rok znowu spędzę takie trzy dni w lesie, zdala od miasta i ludzi i znowu miną one jak sen, jak bajka, by nowa wiosna dała mi te same przeżycia, a zawsze nowe i nigdy niezaspokojone.

MIECZYSŁAW MNISZEK-TCHORZNICKI.

MIĘDZYNARODOWE UREGULOWANIE ŚREDNICY ŚRUCIN I ICH OKREŚLENIE.

Na drugiem posiedzeniu Międzynarodowej Rady Łowieckiej (Conseil International de la Chasse), odbytem w dniach 30 maja i 1 czerwca r. z. w Paryżu, (gdzie reprezentowane było 46 państw) omawiana była między innemi kwestja międzynarodowego uregulowania i określania średnic śrutu. Znaczne rozbieżności, jakie w poszczególnych krajach egzystują, co do fabrykacji śrutu, ich średnic i ich określeń, wskazują na uzasadnioną konieczność przeprowadzenia odpowiedniego ujednostajnienia.

Viceprezes Międzynarodowej Rady, książę Ratibor, objął referat nad usiłowaniem przeprowadzenia tego problemu i przedstawił zgromadzeniu zbiór rozmaitych średnic i ich numeracji, dając obraz panujących w tej chwili pod tym względem w różnych państwach, biorących udział w kongresie, rozbieżności i braku jakiegokolwiek systemu, dążącego do uregulowania.

Referent wniosku szedł w kierunku przyjęcia propozycji wprowadzenia niemieckiego systemu podziału śruciny podług milimetra, stopniując po 1/4 milimetra. Staraniem „Allgemeiner Deutscher Jagd-Schutz-Verein" i „Deutsche Versuchs Anstalt für Handfeuerwaffen", przystąpiono do ujednostajnienia numeracji śrutu, czemu trzy niemieckie największe fabryki: „G. Hagen" w Kalk pod Kolonją, „V. Giesche's Erben" w Katowicach i „Händler Naterman Hanower Münden" dały początek. Na wspólnem tych towarzystw posiedzeniu w 1886 roku, wobec ogólnej tendencji do wprowadzania systemu metrycznego, postanowiono numerację śrutu ujednostajnić, określając średnicę ziarnka w milimetrach.

Odtąd w Niemczech średnicę ziarnka śrutu wyraża się w milimetrach (co lepiej rzecz określa — naturalnie do czasu, póki ujednostajnienie fabrykacji nie doprowadzi do zrównoważenia tych dwóch pojęć).

Do krajów o angielskim systemie mierniczym („Lane Nesham" Birmingham, „Newcastle Chilled Shot Co") proponują Niemcy wprowadzenie setnej części cala, a tak mała różnica nie odgrywałaby przecież żadnej roli.

Korzyść użycia wielkości ziarnka śrutu, jako miary, leży przedewszystkiem w tem, że zupełnie zwyczajnemi instrumentami mierniczemi można średnicę śrutu określić.

Strona przeciwna na kogresie proponowała zastosowanie wagi ziarnka jako podstawy; ma to jednak tę złą stronę, że wymagałoby dokładnej bardzo wagi, bo przecież charakter aljażu (ołów, antymon) i jego ilość, też na wagę śruciny wpływać musi.

Na następnem posiedzeniu Rady w 1933 r. w Bukareszcie, lub w 1934 w Warszawie mają zapaść odpowiednie decyzje.

Walka śrutu twardego z miękkim, która latami zajmowała świat łowiecki, skończyła się oddawna zwycięstwem śrutu twardego — a niemieckie fabryki śrutu postanowiły fabrykować możliwie twardy i doskonale okrągły śrut, celem zabicia konkurencji z angielskim miękkim. Wyższość śrutu twardego i doskonale okrągłego polega na jego sile przebijania, którą na przedmiotach twardych (kościach) łatwo bardzo sprawdzić można; pozatem śrut twardy mniej podlega deformacji przez gazy prochowe, co wpływa na regularność strzałów, nadto zaś zaołowienie luf jest mniejsze, co też nie jest bez znaczenia.

Podaję poniżej zestawienie zatwierdzonej już w roku 1886 tabelki średnic śrutu, poczynając od 1 1/4 do 5 1/2 milimetrów w 18-u wielkościach, przyczem każdy następny numer zwiększa się o 1/4 mm.

Tabelka podaje: wielkość, średnicę śruciny w milimetrach i ilość śrucin w 10 gramach:

5 1/2	000000	10.[illegible]	3 1/4	4	49.4
5 1/4	00000	11.[illegible]	3	5	62.9
5	0000	13.[illegible]	2 3/4	6	81.5
4 3/4	000	15.[illegible]	2 1/2	7	108.5
4 1/2	00	18.[illegible]	2 1/4	8	149
4 1/4	0	22	2	9	212
4	1	26.5	1 3/4	10	316.5
3 3/4	2	32	1 1/2	11	502.5
3 1/2	3	39.[illegible]	1 1/4	12	868

W Polsce tabelka ta obowiązuje tylko fabrykę: „Giesche S. A." w Katowicach, dawniej „V. Giesche's Erben" tamże. *).

WŁ. SŁONCZYŃSKI.

*) Niewiadomo dlaczego nasze fabryki nabojów zmieniają numerację śrutu (nie w/g milimetrów), stosowaną w Niemczech, a swoją numeracją wprowadzają myśliwych w błąd.

Przyp. red.

ZNACZENIE GOSPODARCZE ŁOWIECTWA W JUGOSŁAWJI.

Pod tym tutułem wydał obszerną prace dr. M. Marinowić, profesor leśnictwa na uniwersytecie belgradzkim.

W pierwszej części omawia rozwój prawa łowieckiego od czasów najdawniejszych po dziś dzień w poszczególnych prowincjach (Serbja, Czarnogóra, Bośnia, Dalmacja i t. d.) Część drugą poświęca klimatowi i rozmieszczeniu zwierzyny. Ciekawem jest, że cietrzew sięga pasa do 2000 m. wysokości, podczas gdy głuszec nie posuwa się wyżej 1400 m. nad poziom morza.

W części trzeciej podaje stan liczebny zwierzyny, przechodząc kolejno prowincje państwa. Dla Bośni i Hercegowiny np. podaje następujące ilości ubitej zwierzyny w r. 1888: 140 kozic, 3,239 rogaczy, 247 dzików, 11,009 zajęcy, 102 głuszce, 15 cietrzewi, 926 wilków, 94 niedźwiedzie, 184 dzikie koty, 2641 lisów i t. d. Ogółem ubito 33,547 zwierzyny użytecznej i 7,613 szkodnej. W roku 1893 rząd austrjacki ustanowił rezerwaty w liczbie 6. Dziś jest ich 12, o powierzchni 290.473 ha. Personel dozorczy wynosi 18 ludzi, rezerwaty zamieszkuje 21 niedźwiedzi, 150 dzików, 2,750 kozic, 2,190 sarn, 600 głuszców i 300 cietrzewi. Jeleni niema w Bośni zupełnie, a przyczyna ich wyginięcia jest dotąd niewyjaśniona. Ostatni jeleń padł w r. 1814. Ogólny zwierzostan w stosunku do przedwojennego jest bardzo słaby. Czy rezerwaty stan ten poprawią, przyszłość okaże.

Znacznie lepiej pod tym względem stoi prowincja Vojvodina z łowiskiem królewskiem Belja, obsadzonem podobno najsilniejszemi jeleniami w Europie. W r. 1913/14 ubito ich 480. Wielka powódź w r. 1926 wyrządziła olbrzymie szkody. Zginęło 2.000 jeleni, 300 sarn, 50 dzików i wszystka zwierzyna drobna. Ogólny odstrzał w r. 1924/25 wynosił 168,118 sztuk zwierzyny łownej i 92,499 szkodnej. Dzisiejszy stan jest o 25 proc. niższy od przedwojennego.

Statystyk co do Czarnogóry autor nie mógł zdobyć.

O Dalmacji również brak statystyk. W r. 1920 wypuszczono na górze Marjan pod Splitem pierwsze zające i kuropatwy skalne, w roku 1922 bażanty i sarny. W r. 1926 liczono w przybliżeniu 1000 zajęcy, 1,200 kuropatw, 30 sarn i 1,000 bażantów. Związek łowiecki podaje za ostatnie 10 lat następujące ilości ubitej zwierzyny dla Dalmacji: 60.000 zajęcy, 67.000 kuropatw, 36.000 przepiórek, 1.020 bażantów, 31.000 słonek, 162 wilki, 2.273 lisy, 3.251 kun i t. d.

W Chorwacji i Slawonji stan zwierzyny łownej w początkach 19-go stulecia był bardzo słaby, za to szkodnej — nader obfity. W chwili wybuchu wojny stosunek zmienił się znacznie na lepsze, dzięki staraniom większych właścicieli ziemskich. W roku 1913 ubito: 752 jelenie, 2132 rogaczy i sarn, 71 dzików, 67.000 zajęcy, 38.000 kuropatw, 16.513 bażantów, 1.108 dzikich kotów, 2,600 psów, 24 wilki, 8,000 lisów. W latach wojennych i powojennych najwięcej ucierpiał stan jeleni i sarn i do dziś nie może przyjść do równowagi. Inna zwierzyna powróciła szybciej do dawnej liczebności. Statystyka za rok 1928 wykazuje: jeleni padło 28, sarn 518, dzików 202, zajęcy 67.000, kuropatw 19.000, bażantów 8.000, dzikich kotów 720, wilków 121, lisów 5.952, psów i kotów domowych przeszło 20.000. Rozmnoży znanych z okazałości jeleni podrawskich i posawskich stoi na przeszkodzie reforma rolna i wadliwe prawodawstwo łowieckie powojenne.

Dawny, dobry zwierzostan Slawonji zniszczyła wojna i bliskość linij bojowych. Statystyka z roku 1910 i 1927 podaje następujące rezultaty: jeleni 45—46, sarn 8,758,—2,090, kozic 378—390, dzików 0—28, zajęcy 15.151 — 8.170, głuszców 367 — 136, cietrzewi 65 — 42, jarząbków 1,720 — 916, bażantów 688 — 161, kuropatw 6341 — 1739, niedźwiedzi 1 — 4, wilków 6 — 8, lisów 1962 — 1575 i t. d.

Podnoszenie się zwierzostanu jest i tu główną zasługą ziemiaństwa, które bez przymusu władz wprowadza czasy ochronne (np. dla sarn na okres kilkoletni).

Właściwa Serbja pod względem zwierzostanów stoi bardzo nisko. W projekcie są rezerwaty i długoterminowe czasy ochronne.

Naogół zwierzostan całej Jugosławji przed wojną był dość dobry, podupadł zaś wskutek trzech czynników: wojny światowej, reformy rolnej i wadliwego prawodawstwa łowieckiego. Związki łowieckie robią bardzo wiele w kierunku poprawienia zwierzostanu krajowego, protektorem ich jest sam król Aleksander, zamiłowany myśliwy i hodowca.

Jakość zwierzyny jugosłowiańskiej jest bodaj najlepszą w Europie. Średnie wymiary wieńców jelenich wynoszą: rozpiętość 120 — 130 cm. przy 115 cm. wysokości, parostków sarnich: rozpiętość 20 cm. przy 30 — 31 cm. wysokości.

Ogólny zwierzostan krajowy określa autor wagowo na 2.207.000 kg., wartości 31.007.000 denarów.

Wywóz produktów łowiectwa wyraża się za okres ostatnich lat 10 cyfrą 400 miljonów denarów.

Jugosłowiańskie łowiectwo jest dobrze zorganizowane:

Bośnia i Hercegowina liczą 23 związki łowieckie z 1667 członkami;

Vojvodina 239 związków z 4.897 członkami;

Chorwacja i Slawonja 45 związków z 1823 członkami

Słowenja ma jeden związek prowincjonalny o 3500 członkach i od 17 lat wydaje własne czasopismo;

Dalmacja posiada związek 20 stowarzyszeń z 1200 członkami;

Serbja — związek 138 stowarzyszeń z 10.459 członkami;

Ogółem „Središnja uprava saveza lovačkich udruženja", zrzesza 465 stowarzyszeń, liczących razem 23,556 członków *).

Streścił WŁ. KARNKOWSKI.

*) A u nas? — *Przyp. red.*

BIBLJOGRAFICZNY RZUT O „SOBOLU I PANNIE" ORAZ O „PUSZCZY" J. WEYSSENHOFFA.

Do najszlachetniejszych pereł łowieckiej literatury pięknej należą dwa arcydzieła wielkiego mistrza Józefa barona Weyssenhoffa, pod tytułem „Soból i Panna" i „Puszcza". Wyśpiewało je czułe serce litewskie z taką potężną skalą uczuć i umiłowania Bożej przyrody, z taką niespotykaną dotąd szczerością i wiernością, że księgi te zapewne karmić będą dusze długich jeszcze pokoleń.

O poczytności tych utworów świadczy ilość ich wydań.

Celem niniejszej rozprawki jest podanie danych bibljograficznych, dotyczących tych dwóch wspomnianych dzieł.

Soból i Panna

1) Warszawa, 1912 r. Nakład Gebethnera i Wolffa, druk W. L. Anczyca w Krakowie, 12", str. 379. Wydrukowano 10.225 egzemplarzy.

2) Warszawa, 1913 r. Nakład i druk — jak wyżej. Wydrukowano 10.200 egz.

3) Warszawa, 1913 r. Nakład Gebethnera i Wolffa w Warszawie, Gubrynowicza i Syna we Lwowie, druk. W. L. Anczyca w Krakowie, ozdobiony 85 barwnemi i czarnemi rysunkami Henryka Weyssenhoffa. Barwnie wykonane u Husnika w Pradze Czeskiej i u S. Löwy'ego w Wiedniu. 4", str. 228 + 3 nlb. Wydrukowano 4.160 egz.

4) Kijów, 1917 r. Nakład Leona Idzikowskiego, czcionkami Jana Czokołowa, 12", str. 293. Wydrukowano 10.000 egz.

5) Warszawa, 1921 r. Nakład Instytutu Wydawniczego „Bibljoteka Polska", druk zakładów graficznych w Bydgoszczy. 16", str. 338. Wydrukowano 8.000 egz.

6) Warszawa, 1927 r. Nakład Gebethnera i Wolffa, druk F. Wyszyńskiego w Warszawie, 12", str. 352. Wydrukowano 4.000 egz.

7) Warszawa, 1927 r. Nakład Bibljoteki „Tygodnika Illustrowanego". Tom XLIV, XLV i XLVI; druk J. Rajskiego w Warszawie, 12", str. 113, 118, 129. Wydrukowano 10.000 egz.

Sumując wszystkie wydania, otrzymujemy imponującą liczbę 56.585 egz.

Jeśli do powyższych wydań dodamy pierwodruk z 1911 roku, jednoczesny w 3 dziennikach, a to: w „Gazecie Warszawskiej", „Słowie Polskiem" (Lwów) i „Kurjerze Poznańskim" — wówczas ustalimy, że „Soból i Panna" jest najbardziej rozpowszechnioną z nowszych powieści polskich.

Puszcza

1) Warszawa, 1915 r. Nakład Gebethnera i Wolffa, druk W. L. Anczyca w Krakowie, 12", str 395. Wydrukowano 6.000 egz.

2) Kijów, 1916 r. Nakład Leona Idzikowskiego, czcionkami Jana Czokołowa. 12", str 306. Wydrukowano 10.000 egz.

3) Warszawa, b. r. (1919). Nakład Gebethnera i Wolffa, druk W. L. Anczyca w Krakowie. 12", str. 395. Wydrukowano 6.000 egz.

4) Warszawa, b. r. (1923). Nakład Instytutu Wydawniczego „Bibljoteka Polska", druk zakładów graficznych w Bydgoszczy. 16", str. 412. Wydrukowano 8.000 egz.

5) Warszawa, 1930 r. Nakład Gebethnera i Wolffa, druk W. L. Anczyca w Krakowie. 10 ilustracyj Kamila Mackiewicza. 261. Wydrukowano 3.000 egz.

Ogółem więc wydrukowano 33.000 egz.

Pierwsze opublikowanie „Puszczy" nastąpiło w latach 1913/14 na łamach codziennej prasy, t. j. w „Kurjerze Warszawskim", w „Słowie Polskiem" (Lwów) i w „Kurjerze Poznańskim".

Nadto w r. 1917 pojawił się w Chicago nieautoryzowany przedruk w „Dzienniku Związkowym".

Niebawem ma wyjść z druku „Puszcza" w przekładzie czeskim znanego pisarza czeskiego i tłumacza utworów literatury polskiej — Franciszka Vondraćka.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

W drugiej połowie marca r. b. zmarł w Warszawie śmiercią tragiczną ś. p. inż. Konrad Wyleżyński, długoletni członek Mińsko-Mazowieckiego Towarzystwa Łowieckiego i O. Z. a także koła myśliwskiego w Długosiodle.

Ś. p. Konrad Wyleżyński odznaczał się wielkiem ukochaniem przyrody i szczególnem zamiłowaniem do łowiectwa w prawdziwem znaczeniu tego słowa. Urodzony na Podolu, przedstawiał istotny typ kresowca tamtej dzielnicy, posiadający bujną, pełną temperamentu naturę, trudną do wtłoczenia w ciasne i ciężkie ramy dzisiejszego życia.

Wszystkie wolne od fachowej pracy chwile poświęcał obcowaniu z przyrodą, nie omijając żadnej sposobności myśliwskiej, przedkładał jednak zawsze samotne polowanie z wyżłem, a zwłaszcza kresowe toki wiosenne.

Jako towarzysz z pod znaku św. Huberta, otoczony był szczerą sympatją obcującej z Nim braci myśliwskiej, jako myśliwy posiadał cenne zalety koleżeństwa i zrównoważonego czynu. Cześć Jego pamięci!

WUZET.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

WYSTAWA PSÓW RASOWYCH.

Polski Związek Hodowców Psów Rasowych przy Centr. Komitecie do Spraw Hodowli Drobiu w Polsce z siedzibą w Warszawie, wspólnie z Towarzystwem Hodowli Psów Myśliwskich, urządzają w dn. 4, 5 i 6 czerwca r. b. wystawę psów rasowych: myśliwskich, obronnych i pokojowych, w hali Polskiego Touring-Klubu, Warszawa, Bagatela 3.

Wystawa powyższa ma na celu dokonanie przeglądu psów rasowych przez najwybitniejszych znawców sportu kinologicznego w Polsce i zaznajomienia szerokich warstw z postępami w tej dziedzinie.

Jako nagrody dla wystawców przeznaczono: dyplomy na medale złote, srebrne i bronzowe, oraz listy pochwalne. Nadto będą wydawane cenne nagrody pamiątkowe, ofiarowane przez Komitet Wystawy i poszczególne osoby, którym leży na sercu sprawa podniesienia hodowli psów w Polsce. Psy wystawione w różnych klasach mogą być kilkakrotnie nagrodzone.

Aby zawczasu zorjentować się w ilości zgłoszeń, Komitet Wystawy prosi o nadsyłanie wypełnionych deklaracyj do dn. 28 maja r. b. pod adresem Biura Komitetu Wystawy w Warszawie, ul. Kopernika 30, tel. 201-38.

Wystawa obejmować będzie następujące działy:

I) Psy myśliwskie: a) wyżły, b) ogary, c) charty, d) jamniki, e) spaniele, f) foksterjery i inne.

II) Psy do stróżowania i obrony: a) owczarki, b) airedalle terjery, c) dobermany, d) bernardy, e) wodołazy, f) dogi i inne.

Psy pokojowe: a) pekińskie, b) japońskie, c) pinczerki, d) pokojowe terjery i t. d.

Nadto przez cały czas wystawy będą wystawione: przybory do hodowli i tresury psów; pokarm i środki lecznicze; literatura, fotografje, tablice, etc.

Atrakcje: a) popisy psów, b) rewja psów nagrodzonych i t. p.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— 5.I r. b. w 12 strzelb, w świetnie zorganizowanem polowaniu u p. Stanisława Zalewskiego w Masłowicach na terenach polnych i leśnych ubito 146 zajęcy, widziano fantastyczne ilości kuropatw, kilkanaście sarn i dużo kur cietrzewich. Królem polowania był p. B. Jakubowski z Fałkowa mając 18 sztuk.

(J.Wl.K.) Dnia 9 stycznia r. b. odbyło się polowanie w kotły w maj. p. Taczanowskiego, w Wilczynie, pow. Konin. Przy nader sprzyjającej pogodzie wyruszono w 30 strzelb na pola wilczyńskie, gdzie myśliwi znaleźli prawdziwą roskosz, zwierzyny bowiem było wiele. Na rozkładzie naliczono 497 zajęcy, 5 królików i 15 bażantów. Berło królewskie zdobył gen. Rydz-Śmigły, kładąc 35 zajęcy. Świetny wprost stan zwierzyny, to jeszcze jeden dowód więcej, że gospodarka łowiecka, prowadzona ze zrozumieniem, daje nietylko pełną roskosz myśliwską, ale także zadośćuczynienie materjalne, co w dzisiejszem położeniu gospodarczem jest pozycją nader pożądaną.

SPROSTOWANIE.

Do artykułu p. gen. Skrzyńskiego p. t. „Fragmenty", ciąg dalszy, w Nrze 20 „Łowca Polskiego" — wkradły się następujące błędy:

Na str. 337 wiersz 15 w prawej szpalcie — zamiast „Za to już..." powinno być: „Za to tu się znajduje tokowisko...".

Na str. 338 wiersz 1 — w lewej szpalcie — zamiast słowa: „słynny" — powinno być: „słynął",

wiersz 4: zamiast „dziesięć metrów" powinno, być dziesiątki metrów.

wiersz 10 winien brzmieć: „odważy się na próbę pokuszenia się na cząstkę jego...".

W wierszu 14 — zamiast: „przyszłości", winno być: „przeszłości".

wiersz 8 od dołu w tejże szpalcie — zamiast „miejscowości" powinno być: „miejscowej chudoby".

Na tejże stronie w szpalcie prawej: w wierszu 6 od góry zamiast „najmniejszych" — winno być: „pomniejszych".

Zniekształcone zostało zdanie, rozpoczynające się w wierszu 18 od dołu (ta sama strona i szpalta), które powtarzamy we właściwem brzmieniu:

„Dopiero niesamowite narzędzia — długie tyki, snopki suchej słomy dla podpałki (?), kawałki sznurów, przygotowane w niewiadomym dla mnie celu, oraz ciche westchnienia p. S-go i drugiego mego komkompana — zawsze wesołego pana doktora z Sz-ka, w połączeniu z zatrważającemi przygotowaniami do dalszej drogi naszych „prowodyrów" — naprowadziły mój zaniepokojony umysł na tory smutnych rozmyślań nad zbliżającemi się torturami".

W wierszu 4 od dołu po słowie „obsuszyć" opuszczono słowo „odzież".

Wreszcie na str. 339, w lewej szpalcie w wierszu 4 od góry — zamiast słowa „zawsze" winno być „zawczasu".

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Ogłoszenie

Dyrekcja Lasów Państwowych w Bydgoszczy

ogłasza niniejszem konkurs ofert na wydzierżawienie następujących terenów łowieckich na przeciąg lat sześciu **od dnia 1 maja 1932 r. do 30 kwietnia 1938 r.**

Nr. bież.	Nadleśnictwo	Tereny przeznaczone do wydzierżawienia	Powierzchnia w ha	Przypuszczalny roczny odstrzał: a) zwierzyny stałej, b) „ przechodniej	Odległość od najbliższej stacji kolejowej	UWAGI
1	Nakło	leśnictwo Tur	585,81	a) 3 rogacze i 40 zajęcy	Rynarzewo 4 km.	
2	Nakło	„ Studzienki	677,21	a) 1 rogacz i 15 zajęcy	Studzienki 1 „	
3	Grabowno	„ Bądecz	101,—	a) 1 rogacz, 10 zajęcy i 10 kaczek	Miasteczko 18 „	teren zabagniony
4	Zamrzenica	„ Klonia oddz. 185—189, 191—195	223,76	a) 2 rogacze i 25 zajęcy	Gostyczyn 3 „	w 2 kompleksach, odległych od siebie o 3 km.
5	Świt	„ Skrajna	591,07	a) 30 zajęcy i 3 lisy	Cekcyn 4 „	
6	Wierzchlas	„ Janiagóra oddz. 315—326	274,83	a) 2 rogacze, 25 zajęcy, 2 lisy i 10 królików	Lniano 3 „	
7	Świekatówko	„ Branica oddz. 148—164	414,06	a) 20 zajęcy i 2 lisy	Szewno 5 „	
8	Chociński młyn	„ Żychce	945,12	a) 1 rogacz, 20 zajęcy i 2 lisy	Chojnice 26 „	
9	Klosnowo	las Krojanty i parcela Kłodawska, oddz. 311—316, 15—17	299,45	a) 15 zajęcy i 2 lisy	„ 8 „	
10	Laska	leśnictwo Młynek i Czernica	2248,55	a) 2 rogacze, 15 zajęcy i 2 lisy b) 1 jeleń i jeden dzik	Męcikał 2—6 „	
11	Lutówko	„ Kamionka	232,61	a) 2 rogacze, 30 zajęcy, 1 lis i 10 królików	Ogorzeliny 2 „	
12	Runowo	„ Wąwelno	311,68	a) 2 rogacze, 40 zajęcy i 5 lisów	Mrocza 15 „	
13	Runowo i Lutówko	leśnictwa: Runowo-Młyn, Chłopigost, Witrogoszcz, Stebionek, Czarnuń, Świdwie, Dąbie i Nowy-Dwór	5344,96	a) 2 jelenie, 6 danieli, 22 rogacze, 23 dziki, 380 zajęcy, 16 lisów, 20 bażantów i 250 kaczek	Runowo Krajeńskie 1 „	łącznie z łowiskiem wydzierżawi się znajdujący się na tym terenie pałac myśliwski o 13 pokojach po Hr. Belhmann Holweg'u
14	Osie	leśnictwa Gródek i Zajęczy Kąt	1038,—	a) 1 daniel, 6 rogaczy, 100 zajęcy, 6 lisów, 1 kuna leśna i 20 królików	Leosia w miejscu wzgl. Laskowice 4 km	w 2 kompleksach, położonych blisko siebie.

Oferty należy składać, względnie nadsyłać w terminie do dnia 25 maja 1932 r. do godz. 12-ej, w zapieczętowanych kopertach z napisem „Oferta na dzierżawę polowania".

W ofertach podać należy proponowaną cenę za 1 ha, oddzielnie za każdą jednostkę dzierżawną — cyfrowo i słowami w złotych. Do oferty winien być dołączony dowód wpłacenia na P.K.O. Nr. 206.877 lub też do Kasy Skarbowej w Bydgoszczy wadjum w wysokości 10% oferowanej sumy, przyczem zaznacza się, że wadjum może być również uiszczone w papierach wartościowych, mających prawo pupilarne.

Rozpatrzenie ofert nastąpi dnia 25 maja r. b. o godz. 13-ej w biurze Dyrekcji, pokój 96, przy ul. Jagiellońskiej 5 w Bydgoszczy.

Dyrekcja zastrzega sobie prawo wyboru pomiędzy oferentami bez względu na wysokość proponowanych cen, oraz prawo nieprzyjęcia żadnej z ofert, jak również prawo wprowadzenia ewent. zmian w powierzchni poszczególnych kompleksów.

P.P. oferenci, których oferty zostaną przyjęte, wezwani będą do Dyrekcji w celu podpisania umowy.
Warunki dzierżawy są do przejrzenia w Dyrekcji Lasów Państwowych.

DYREKCJA LASÓW PAŃSTWOWYCH
W BYDGOSZCZY.

OGŁOSZENIA DROBNE

Prośba o fotografje.

Redakcja „Łowca Polskiego" prosi PP. Myśliwych, posiadających ciekawe zdjęcia myśliwskie, o nadesłanie tychże Redakcji do użytku bieżącego.

Prosimy o podawanie nazwisk osób, które dokonały zdjęć, w celu zamieszczenia ich pod fotografjami.

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15